

Płock, dn. 2 października 2010 r.

Grzegorz Falkowski

data rozpoczęcia uprawiania szermierki:
1.09.1956 r.

Moje wspomnienia związane z Wrocławskim Klubem Szermierczym „Kolejarz” z okazji 60 Rocznicy utworzenia Klubu.

Często zadawałem sobie pytanie: dlaczego takim sentymentem darzę lata przeżyte w Klubie ? Dlaczego tak blisko związany się czuję z etosem białej broni ? Dlaczego tak uwielbiałem nieodżałowanej pamięci mych fechmistrzów Wirgiliusza Kuleczkę i Jerzego Kłosowicza ? Dlaczego tak pokochałem szermierczą brać klubową ?

Etos białej broni jest drogi memu sercu co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze od pacholęcych lat zaczytywałem się w literaturze rycerskiej Waltera Scotta, (autor Ryszarda Lwie Serce), Aleksandra Dumasa i Henryka Sienkiewicza. Biała broń kojarzyła mi się więc z rycerską walką o ideały, ze szlachetną walką ze złem, z postawą dżentelmena i szarmanckiego obrońcy dobra. Chciałem więc dorównać bohaterom tych powieści, takim jak Ryszard Lwie Serce, Cyrano de Bergerac, jak d'Artagnan i trzej muskietierowie, Zawisza Czarny, wreszcie „mały rycerz” - Jerzy Wołodyjowski, Skrzetuski czy Andrzej Kmiecic. Później pragnąłem dorównać memu „żywemu” idolowi i wzorcowi sportowca Jerzemu Wojciechowskiemu – Mistrzowi Świata Juniorów w szpadzie z 1957 r.

Ten drugi powód to znane w psychologii wzorowanie się synów na postawach ojców. Otóż mój ukochany Ojciec – świętej pamięci inż. Nadleśniczy Tadeusz Falkowski herbu Doliwa był ułanem w poznańskim pułku kawalerii i walczył w 1920 r. z Moskalami (jego określenie) o niepodległość naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Zapadły mi w sercu jego opowiadania o „przewagach” na polu walki nad odwiecznymi naszymi gnębielcami, którzy przynosili ze wschodu zniewolenie, pożogę, krew, wywózki patriotów na Sybir, łzy i cierpienia Narodu. Pamiętam, z jaką adoracją Ojciec wspominał swoją szablę ułańską, którą tulił do serca nawet wtedy, gdy zasypiał zmęczony gdzieś w bruździe, w polu. Szablę, którą odziedziczyłem po Ojcu przechowuję do dziś z wielkim pietyzmem. Pamiętam wzruszenie Ojca i jego łezkę w oku, gdy serdecznie gratulował mi Wicemistrzostwa Polski w szpadzie w 1966 roku.

Miałem to szczęście, że od początku mego członkostwa w Klubie – miałem kontakt ze wspańiałymi trenerami, wychowawcami, działaczami i koleżeństwem klubowym. Pierwsze moje kroki młodziutkiego adepta szermierki odbywałem pod życzliwym okiem świętej pamięci Fehmistrza Wirgiliusza Kuleczki. Zapamiętałem go jako doskonałego fachowca – trenera, ale też jako wychowawcę, oddanego opiekuna, wykonującego swą pracę z poświęceniem; - niemal jak misję a nie rzemiosło. Dbał np. o to by jego zawodnicy byli zarazem dobrymi uczniami w szkole i potrafił zakazać przychodzenia na treningi zawodnikowi, który opuścił się w nauce, dopóki stopni w szkole nie poprawi ! Był bardzo wymagający, dążył do tego, by zawodnika wytrenować na mistrza fechtunku, był przy tym bardzo sprawiedliwy. Stosował też różne systemy motywacji zawodnika do wysiłku w dochodzeniu do osiągania coraz lepszych wyników sportowych. Ja traktowałem Pana Fehmistrza i jako trenera ale też jak wychowawcę, przyjaciela i takiego dobrego Ojczulka. Później między Nim a mną utworzyła się taka więź oddania i uwielbienia, że, za jego ciężką pracę w pocie czoła nad moją kondycją i formą szermierczą (w końcu byłem chyba beztalenciem co do techniki szermierczej) właśnie dla niego chciałem osiągać znaczące wyniki w zawodach szermierczych. Jego odejście na gwiazdzistą planszę było dla nas

wszystkich wielką, nieodżałowaną stratą. Kochany Fechmistrzu, gdy Cię kiedyś spotkam na niebieskich bezdrożach – złożę Ci uszanowanie i wypowiem słowa wręcz synowskiego oddania.

Ale dobrym duchem sprawczym, dzięki któremu ten Klub istniał i prosperował – był jego wieloletni Prezes i zarazem Dyrektor DOKP we Wrocławiu – świętej pamięci Pan mgr Eugeniusz Pussak. I do niego – ja młodzieniec (wtedy) uprawiający szermierkę w tym Klubie – miałem stosunek prawie synowski, pełen szacunku i uznania. Pan Prezes Pussak był doskonałym organizatorem i jego pracy ten Klub zawdzięcza całe długie lata prosperity. Ale taką dominującą cechą Pana Eugeniusza (moim zdaniem) było to, że On utożsamiał się z dobrem tego Klubu, że wszyscy czuliśmy, że On całą duszą jest oddany temu Klubowi, że nieustannie troszczy się o to by wszystko „grało”. On dbał o finansowanie całej działalności klubowej, o trenerów, o wyjazdy na zawody w Polsce i w Europie, o gości którzy przyjeżdżali do Naszego Klubu z Francji, z Niemiec, z Macedonii, z Węgier. Wszystko musiało być „dopięte na ostatni (przysłowiowy) guzik”. Przy tym Pan Eugeniusz obdarzał nas serdecznym, dobrym uśmiechem, który łagodził nieporozumienia i wygaszał nasze nieraz zbyt rozgorączkowane charakterki. Przyznam, że i z myślą o nim starałem się osiągać dobre wyniki, by zasłużyć na jego gratulacje, na ten jego miły uśmiech, by zrobić mu przyjemność naszymi zwycięstwami. Wspomnijmy Go dziś serdecznie, żal, że nie dożył do tego pięknego, jubileuszowego dnia dzisiejszego.

Obok Pana Prezesa Pussaka, jakby w jego cieniu działał w Klubie Pan mgr Władysław Jurczak – także pracownik DOKP Wrocław. Może jego zasługi są mniej widoczne, ale jego praca dla Klubu jest nieoceniona. Zawsze uśmiechnięty, dobry organizator, identyfikujący się z sukcesami klubowymi. Także Pan Władysław tworzył tę nieuchwytną, miłą atmosferę klubową, dla której chciało się iść do Klubu, chciało się przelewać pot na treningach i walczyć o dobre wyniki na planszach Polski i Europy.

A pamiętacie „Stara Gwardio” nieodżałowanej pamięci matkę klubową Panią Helenę Serbeńską? Z nazwisk nie powinno się wywodzić żadnych paraleli, ale Pani Serbeńska zawsze kojarzyć mi się będzie z sercem i serdecznością. Cóż to była za chodząca opiekuńczość, dobroć i matkowanie. Nie pomnę jaką funkcję formalną Pani Helena pełniła wśród działaczy klubowych, ale jej rola w stwarzaniu atmosfery serdeczności i dobroci międzyludzkiej była ogromna i nie do przecenienia. Nikt tak jak ona nie potrafił wysłuchać, pocieszyć, wygasić żale, rozterki, osłodzić gorycz porażek dobrym słowem, ciepłym uśmiechem, serdecznością.

To była taka matenka, cicha, zatroskana, niepozorna, emanująca dobrocią, promieniejąca życzliwością, zachowam ją w sercu na zawsze.

Ciepło wspominam też skarbnika klubowego Pana Zdzisława Światowego z DOKP, który dbał o to by sfinansować zakupy sprzętu do Klubu, załatwić bilety kolejowe na nasze wyjazdy na zawody i inne niezbędne wydatki. Pan Światowy był zawsze dokładny, życzliwie ustosunkowany do braci klubowej, uśmiechnięty i kompetentny.

Wielki wpływ na moje wyniki sportowe miał też drugi (po Panu Kuleczce) trener, przyjaciel i kolega z planszy – świętej pamięci Jerzy Kłosowicz. Jerzy był charakterystyczną osobowością, daleką od doskonałości ale nietuzinkową i charyzmatyczną. To on wmówił mi, że będę „doskonałym” zawodnikiem i że razem osiągniemy to, że wszyscy szpadziści w Polsce będą czuli respekt przed szpadzistami z Wrocławia. Emanował siłą woli i pragnienia sukcesu. Trzeba też przyznać, że bardzo dobrze uczył techniki szermierki bo i sam był kiedyś znakomitym szermierzem. Moim zdaniem wielkie sukcesy w szpadzie Wiesława Okpisza, Jerzego Okraszewskiego, Jacka Dziągiewskiego, Leszka Skrzetuskiego i w skromniejszym wymiarze – także moje zawdzięczamy nie tylko Fechmistrzowi Kuleczce, ale i właśnie trenerowi Jerzemu Kłosowiczowi. Wspominam go dziś bardzo serdecznie z racji też wielkiej wzajemnej przyjaźni i życzliwości. Pamiętam jak mu łzy stanęły w oczach, gdy w Krakowie,

w pamiętnym dla mnie czerwcu 1966 r., przed północą gratulując mi II miejsca w MP w szpadzie – powiedział serdecznie: „Ty patalachu, to twój największy sukces życiowy, już więcej takiego wyniku nie osiągniesz i wiedz, że o wiele lepsi są od ciebie Wiesiek i Jerzy Okraś”. Oczywiście miał rację, choć w zamierzeniu chciał zagrać na mej ambicji, bym chciał osiągać jeszcze lepsze wyniki od tamtego. Dzięki Jurkowi poznałem też moją żonę Krystynę, o której w 1965 r. słusznie powiedział, że „to najwspanialsza kobieta świata”. Dzięki Ci Jureczku za wszystko, niech Ci piękne anielice w niebiosach umilają tam pobyt.

Wielki wpływ na wysoki poziom techniki szermierczej w naszym Klubie miał mgr polonistyki Krzysztof Głowacki, który przeszedł do naszego Klubu z Górnego Śląska. Krzysztof to nadzwyczaj inteligentny człowiek, bystry obserwator i znawca świata, ludzi i zawodników. Był wręcz perfekcyjnym trenerem-technikiem, umiał doskonale wydobywać z każdego z zawodników talenty go cechujące i udoskonalać je dzięki trafnie i selektywnie stosowanym do tego zawodnika metodom treningowym. Szkoda, że tak późno trafiłem na tak doskonałego trenera, gdybym miał możliwość ćwiczyć z Krzysztofem wcześniej – może odnosiłbym większe sukcesy ?

Dziś, gdy piszę te wspomnienia mam już 72 lata i siłą rzeczy nachodzą mnie refleksje – czy warto było tyle wysiłku wkładać w trenowanie szermierki, w walki na planszy kosztem przecież zdrowia na późniejsze lata ? Otóż odpowiedź jest twierdząca i to nie dlatego, że człowiek osiągał jakieś tam bardziej czy mniej znaczące wyniki sportowe, nie dlatego, że wyjeżdżał na zagraniczne zawody szermiercze, gdy w Polsce od zachodu oddzielała nas „żelazna kurtyna” – ale przede wszystkim dlatego, że poznałem mnóstwo wartościowych ludzi, którzy do sukcesów dobijali się talentem i uczciwą, wytężoną pracą, oraz dlatego, że uprawianie wyczynowego sportu uczy uczciwej walki o nasze miejsce w społeczeństwie.

Chciałbym tu wymienić tylko niektóre koleżanki i kolegów, których przyjaźń poczytuję sobie za zaszczyt, którzy na mojej osobowości wywarli największy, pozytywny wpływ.

Z koleżanek niewątpliwie na pierwszym miejscu muszę wymienić Olę Walewską – Siekierkę. Ola jest dla mnie wzorem sportowca, człowieka, kobiety, obywatela, działacza sportowego i człowieka sukcesu na niwie zawodowej. Ola jest wzorem szlachetności, inteligencji, pozytywnego myślenia, pracowitości, serdeczności, dobrego humoru a jej piękne, błękitne oczy i promienny uśmiech zamieniają każdą smutną chwilę w słoneczny, radosny dzień. Oleńka jest jedną z tych osób, które mobilizowały mnie do tego, by być porządnym człowiekiem, uczciwie pracować w sporcie i nad sobą – by być godnym jej przyjaźni i szacunku. To wspaniała, niepowtarzalna osobowość Oli była (i jest) świetlanym filarem tej wspaniałej atmosfery klubowej, która sama w sobie była magnesem przyciągającym mnie do Klubu i rzetelnej pracy treningowej – nie raz przecie w pocie czoła. Mimo mocnej, sportowej budowy ciała – Oleńka świetnie tańczyła, po parkiecie płynęła leciutko jak piórko, było wielką frajdą tańczyć z Oleńką szybkie rock’end rolle, foxtroty, samby i rumby, które w latach 60-tych i 70-tych dominowały na wieczorkach tanecznych

Przyznam, że druga z koleżanek klubowych wywarła na mnie ogromne wrażenie i to nie tylko jako zawodniczka, ale i jako urocza, szlachetna kobieta – mam na myśli Marylkę Ludwinównę, dziś wielce cenionego architekta i projektanta osiedla mieszkaniowego Kozanów we Wrocławiu. Co tu kryć, podkochiwałem się w Maryli i niejedno tęskne westchnienie wyrwało się z mej piersi za jej sprawą. Nie ośmieliłem się jednak prosić o jej rękę, bo darzyłem ją tak wielkim szacunkiem, uwielbiałem ją tak bardzo, że uważałem, że nie jestem jej wart. Wkrótce zresztą potem poznałem Krystynę, która ugodziła w me serce taką strzałą Amora, że wszystko inne zeszło na drugi plan. Marylce wdzięczny jestem za te spontaniczne i platoniczne, wielkie porywy serca, za przekonanie mnie, że można kochać nie tylko samolubnie, ale właśnie z ogromną dozą szacunku, życzliwości i wycofać się, gdy uświadomiłem sobie, że nie jestem gotów by uszczęśliwić uwielbianą kobietę. Wybacz „Mery

Lu” jeśli przez mą niedojrzałość nie uczyniłem wszystkiego by Cię zdobyć, jestem pewien, że przy Twoim boku byłbym jeszcze szczęśliwszym człowiekiem, ślepy nie zauważyłem, że dobroczynny Los ukazywał mi w Tobie szansę na cudowne życie !

Bardzo lubiłem nasze koleżanki klubowe; - Elżbietę Kortianek, Alę Sobotę, Astrid Ostańkowicz, Hanię Jezierską, Halinkę Jezierską, Wandzię Baranowską, Lilię Kotlarek, Danusię Przepiórę, Barbarę Michalską, Barbarę Raziuk, Ewę Markowską, Ewę Lewandowską - Ostańkowicz, Elżbietę Panek i wiele innych, których już nie zdołałem wymienić w tych krótkich wspomnieniach.

W mych wspomnieniach na wyróżnienie zasługuje doskonała zawodniczka i wspaniała kobieta – Lidia Chrołówna Kotlarek. Co tu ukrywać, na nasze zawodniczki patrzyliśmy także oczami mężczyzn, a Lidia Kotlarek była jedną z najatrakcyjniejszych kobiet jaką znałem. Każdy chłop się za Lilką obejrzał, zgrabna, wspaniale zbudowana, wysportowana, bardzo ładna kobieta, ognistooka brunetka, ambitna i bojowa na planszy. Obok Oli Walewskiej – najmocniejsza podpora naszej drużyny floretowej. Czuło się respekt przed Lilką, u tak wspaniałej kobiety mógłby mieć szansę naprawdę 100%-owy mężczyzna.

Wodziliśmy oczami także za ambitną, mądrą, piękną i zgrabną Hanią Jezierską – solidną podporą naszej reprezentacyjnej drużyny floretu kobiet.

Astrid Ostańkowiczówna 14-letnia florecistka była w naszym Klubie zjawiskową istotą. Nadzwyczaj inteligentna i nad wiek dojrzała dziewczyna, by nie rzec; - kobieta. Gdy się z nią rozmawiało miało się uczucie, że to pełnoletni człowiek o dojrzałych, przemyślanych poglądach. Miała piękne , szaro-błękitne oczy, w których odbijała się dusza dobrego, mądrego człowieka. Była bardzo czytana, mówiła piękną polszczyzną, była przy tym bardzo subtelna, nieśmiała i urocza. Gdy utopiła się w wannie na skutek zawału serca, - wszyscy mieliśmy uczucie ogromnej straty, wielkiej niesprawiedliwości losu. Astrid jest na pewno jednym z najcudowniejszych aniołków w niebie.

Rozświeślała swoim promiennym uśmiechem i gorącym spojrzeniem przemila Danusia Przepióra – była jedną z najmilszych koleżanek klubowych, dobra, serdeczna i mądra.

Nie wymieniłem tu wszystkich uroczych koleżanek, które tworzyły przemilą atmosferę klubową, które swym uśmiechem opromieniały świat, które z nami przyjaźniły się, tańczyły z nami na naszych potańcówkach, które przelewały pot na zawodach, gdy ich wysiłek i ich zwycięstwa miały wpływ na wynik całej naszej drużyny „kolejarskiej”. Dziękuję wam koleżanki, że miałem zaszczyt być waszym kolegą, że traktowałyście mnie jak pełnowartościowego druha z planszy.

Tu pozwolę sobie na taką refleksję natury ogólniejszej. Wielokrotnie byłem pytany przez mych różnych rozmówców, niesportowców; - Grzegorz, jak to jest, przecież byliście młodzi, jurni, gorąca krew krążyła w waszych żyłach – nie wykorzystywaliście tych bliskich kontaktów z waszymi koleżankami, „nie łamaliście ich serc” ?

Otóż nie, nasze koleżanki klubowe były dla nas (a na pewno dla mnie) - tabu. Rządziła nami niepisana, szarmancka zasada, że koleżanki, które nieraz były przy nas w przymusowej sytuacji (np. gdy nie było odrębnej szatni a musiały rozebrać się do naga by następnie ubrać się w dres szermierczy, czy wspólne, w jednym przedziale salonki wielosetkiłometrowe jazdy pociągami do Francji, na Węgry, do Niemiec, czy do Macedonii itp.) – są nietykalne. Uważaliśmy, że nie wolno wykorzystywać takich sytuacji, koleżanki mówiły, „chłopcy odwróćcie się” i myśmy odwracali się – żadnym gestem, spojrzeniem, czy słowem nie wprowadzaliśmy je w zakłopotanie czy rumieniec wstydu. Nasze koleżanki klubowe były więc (w tym znaczeniu) dla nas „święte”. Więcej więc w nas chłopakach było szacunku i życzliwości niż egoistycznego pożądania. Nasze koleżanki klubowe otaczaliśmy opieką i „ochroną” i tylko wtedy, gdy jakiś mężczyzna podobał się naszej koleżance i ona

wyraźnie preferowała jego towarzystwo – zajmowaliśmy wtedy postawę akceptującą, z daleka dbając, by naszej koleżance nie stała się jakaś krzywda.

Więcej jednak naszego życia klubowego spędzaliśmy w gronie kolegów zawodników. Największe wrażenie na mnie wywarł kolega Jerzy Wojciechowski zwany przez nas „Wojtkiem”. Przyznam, że był moim idolem, wzorem sportowca, męskości, niezłomności w walce, uporu w dążeniu do zwycięstwa, nie „dawania za wygraną” przeciwnikowi nawet w najtrudniejszych momentach. Jerzy jest przy tym bardzo inteligentnym człowiekiem, przystojnym mężczyzną, pięknie zbudowanym i ładnie umięśnionym sportowcem. Na planszy Jerzy poruszał się jak drapieżny kot, szybko, elastycznie, sprężysto, dynamicznie. Każdy ruch był celowy, zmierzał do dominacji nad przeciwnikiem. Zwarcia z Wojtkiem kończyły się błyskawicznymi trafieniami czy to fleszem, czy wypadem, przeważnie z wiązaniem klingi przeciwnika okrężną przeciwzastoną ósmą, którą to akcję Wojtek opanował perfekcyjnie i przy jej pomocy pokonywał najlepszych szpadzistów świata. Miałem zaszczyt być obecny w Hali Gwardii w Warszawie w kwietniu 1957 r. kiedy to „na moich oczach” ten wspaniały zawodnik zdobył tytuł Mistrza Świata Juniorów w szpadzie i razem ze świętej pamięci ojcem Wojtka mieliśmy w oczach łzy wzruszenia, dumy polskości i zachwytu. Dzięki Ci Wojtku, że pozwoliłeś mi tak blisko patrzeć na Twoją wielkość i wzorować się na twej postawie sportowca, mężczyzny i człowieka. To Ty nauczyłeś mnie serdecznie gratulować zwycięstwa zawodnikowi – mojemu przeciwnikowi, który mnie właśnie pokonał w walce na planszy. Niby to drobiazg i oczywistość, a jednak to Twojej szlachetnej postawie i Twojemu przykładowi zawdzięczam naukę okazywania szczerego szacunku dla wysiłku i sukcesu przeciwnika – mego zwycięzcy.

Największym jednak moim przyjacielem na planszy był i jest do dzisiaj wspaniały szermierz, przede wszystkim szpadzista – Jerzy Okraszewski. Jerzy był doskonałym technikiem, kunszt fechtunku na szpady miał opanowany wręcz doskonale. Niejeden raz walczyliśmy zarówno przeciwko sobie (w zawodach indywidualnych) , czy też razem przeciwko zawodnikom innych drużyn i nigdy nie mogłem wyjść z podziwu – jak pięknie i skutecznie walczył Jerzy. Dość powiedzieć, że to właśnie Jerzego wystawialiśmy zawsze na decydujące o wyniku drużyny pojedynki i w większości Jerzy je wygrywał. Ale głęboka przyjaźń, która wiąże nas do dziś, z mojego punktu widzenia ma nie tylko sportowe podłoże. Ja bardzo szanuję ludzi solidnych, słownych, skorych do niesienia pomocy, oddanych, nie zważających na trudy czy niewygody we wspólnym dążeniu do celu, inteligentnych a przy tym skromnych – wszystkie te cechy i jeszcze multum więcej ma właśnie Jerzy. Podpierał mnie bezinteresownie w różnych trudnych dla mnie momentach życia i mogę o Jerzym powiedzieć, że jest niezawodny jak Zawisza. Dzięki Jerzy za Twą dojrzałą, wielką przyjaźń.

To, że w ogóle trafiłem do szermierki we Wrocławiu zawdzięczam jednak Jackowi Dziągiewskiemu, który w swoim czasie zabiegał o względy mojej młodszej siostry Doroty. Jacek zaprowadził mnie do Klubu, przedstawił mnie Panu Fehmistrzowi Kuleczce, poznał mnie także z Jerzym Wojciechowskim oraz z całą bracią szermierczą we wrześniu 1956 roku. Jacek był także doskonałym szpadzistą, walczył bardzo inteligentnie, z polotem i lekkością, jakby bawił się szpadą, jakby tańczył na planszy, jakby czarował przeciwnika i widzów zmiennością tempa szermierczego, rytmu, subtelnością i różnorodnością repertuaru trafień. Jacek był kapitanem i prawdziwą duszą naszej drużyny szpadowej, umiał nas zmobilizować do wytężonego wysiłku w walce z najtrudniejszymi przeciwnikami, prowadził nas do wspaniałych zwycięstw. Kapitanie nasz, Wielki Jacku – ciesz się podobnym miem wśród pięknych aniołków w Niebie, gdzie na pewno znalazłeś się po zakończeniu wędrówki po naszym ziemskim padole.

Miałem zaszczyt być członkiem reprezentacyjnej drużyny szpadowej naszego Klubu w latach 1966 i 1967 obok takich tuzów jak Jerzy Wojciechowski, Jacek Dziągiewski, Jerzy Okraszewski, Wiesław Okpisz, Jerzy Kłosowicz i Leszek Skrzetuski.

Wiesław Okpisz był znacznie lepszym ode mnie szermierzem, był sprytniejszy, szybszy, bardziej przebojowy, dynamiczniejszy, osiągał większe ode mnie sukcesy. Przyznaję to obiektywnie, choć tak „podskórnie” rywalizowaliśmy między sobą. Nie bolałyby mnie porażki z Wieśkiem, gdyby nie to, że okazywał mi swą wyższość w zbyt dotkliwy dla mnie sposób. Może jednak jestem przewrażliwiony, w końcu sam sobie jestem winien, że swoimi niezręcznościami „nadziewałem się” na cięty, ale dowcipny i życzliwy język Wieśka. Szanuję Wieśka za jego sukcesy na planszy, właśnie za przebojowość, za lotność umysłu, inteligencję, za siłę życiową oraz świetne poczucie humoru sytuacyjnego – swoim zaraźliwym śmiechem wszystkich nas rozbawiał i wprowadzał w doskonały nastrój. Bardzo współczuję Wieśkowi z powodu przedwczesnego odejścia jego wspaniałej żony, uroczej, dobrej i pięknej Jadwigi.

Leszka Skrzetuskiego zawsze będę pamiętał jako mego cichego rywala do członkostwa w szpadowej drużynie reprezentacyjnej. Leszek bardzo ładnie walczył na szpadzie i miał sporo zasłużonych sukcesów na planszy. Dla mnie Leszek był bardzo trudnym przeciwnikiem i nie raz zaznałem gorczy porażki z jego ręki. Jednak dominującym wspomnieniem co do Leszka zawsze będzie jego dobroduszość, jego dobry uśmiech, jego szczerą życzliwość, wspaniałe koleżeństwo. Bardzo polubiłem Leszka i jego towarzystwo wszystkim nam sprawiało wielką przyjemność. Leszek imponował nam swym doktoratem i asystenturą na Wyższej Szkole Rolniczej we Wrocławiu, chyba tylko jeszcze Jacek Dzięglewski miał doktorat z fototechniki na Politechnice Wrocławskiej oraz szablista Wojtek Suski.

Wielką przyjaźnią darzyłem Rysia Sojkę. Był ostoją drugiej drużyny szpadowej naszego Klubu i pretendował do drużyny reprezentacyjnej. Wspominam jednak tu specjalnie Ryszarda przede wszystkim dlatego, że Rysiu był jakby symbolem koleżeństwa, oddania Klubowi. Swą spontanicznością, bezinteresowną przyjaźnią, wręcz uwielbieniem braci klubowej walcie współtworzył tę niepowtarzalną atmosferę ciepła klubowego, tego oddania, tego braterstwa na planszy i poza nią. Nieraz to podkreślałem, że Rysiu pochodził z prostego środowiska, które nie predestynowało go do wielkich awansów społecznych, a jednak Rysiu skończył Technikum Budowlane a dzięki swemu dobremu sercu, koleżeństwu i wrodzonej inteligencji – stał się jednym z najważniejszych i najmielszych kolegów klubowych. Zawsze pamiętał będę Rysiowi w tym pozytywnym znaczeniu ; - jego postawę w Siofok nad Balatonem, kiedy to jak Rejtan wszedł pomiędzy dwóch naszych kolegów, którzy omal nie pobili się o względy jakiejś dziewczyny i wykrzyczał im, że „po moim trupie” będziecie się bić, obaj moi przyjaciele i w dodatku nie pozwolę byście kompromitowali polską ekipę u braci węgierskich.

Trochę później znaczącym zawodnikiem w szpadzie był bardzo sympatyczny kolega magister farmacji Paweł Krawczyk. Z całym przekonaniem stwierdzam, że Paweł jest jednym z najmielszych, najinteligentniejszych osób w naszym Klubie, jednym z tych, którzy współtworzyli tę cudowną, nieuchwytną nić sympatii, koleżeństwa, oddania braci klubowej, która powodowała, że z taką przyjemnością szło się do Klubu. Wiem, że później Paweł dzielił się swoimi umiejętnościami szpadowymi z młodszymi kolegami jako instruktor.

Poza mą ukochaną szpadą – bardzo bliskimi kolegami, których darzyłem wielką sympatią i przyjaźnią – to szablista Janusz Dąbrowski i florecista Staszek Lubański.

Mgr inż. Janusz Dąbrowski to jeden z najwspanialszych ludzi jakich znam. Janusz to chodząca rzetelność, uczciwość, dowcip, zniewalający uśmiech, bojowość na planszy, subtelna technika szablowa, dynamika w walce i treningu. Ale Janusz jest dla mnie wzorem Polaka – obywatela, prawdziwego chrześcijanina, człowieka doskonale wyważonego, wypowiadającego zawsze dojrzałe, słuszne i sprawiedliwe poglądy, emanującego ciepłem, życzliwością i obdarzonego wspaniałym poczuciem humoru. Jeśli Janusz choć trochę mnie polubił (bo ja jego bardzo !) to jestem tym autentycznie zaszczycony.

Staszek Lubański to niezwykle inteligentny człowiek, erudyta znający świat i swobodnie rozmawiający na każdy temat. Staszek to najdoskonalszy florecista spośród najbliższych mi kolegów. Technika floretowa Staszka jest niedościgniona, potrafił pokonać w tej broni najlepszych na świecie. Pod względem dynamiki, sprężystości, skoczności i skuteczności w walce na planszy był chyba porównywalny z samym mistrzem Jerzym Wojciechowskim. A poza planszą ? Staszek jest doskonałym kolegą, bardzo życzliwym, ma rozbijający uśmiech, mówi doskonałą polszczyzną, jest duszą każdego towarzystwa, jest doskonałym gospodarzem dla każdego, kto ma zaszczyt być przez niego goszczonym. Ale chyba jest niedoścignionym mistrzem świata w tańcu rock end roll. Nikt tak doskonale jak Staszek, z takim wspaniałym poczuciem rytmu, z taką zgodnością z tą szybką muzyką – nie tańczył szybkich „kawałków” na parkiecie jak on.

Ja też lubiłem tańczyć rock end rolla , ale „nie umywał się” do Staszka !

W moich pierwszych bojach floretowych – jednym z pierwszych przeciwników i kolegów , na których się wzorowałem (przyznaję samokrytycznie – nieskutecznie) był Jasiu Kępczyk. Janek dysponował subtelną, wręcz „koronkową” techniką floretową, był przy tym szczupły ale bardzo zgrabny, ćwiczył na kłindze w czarnym, obcisłym trykocie i jego dynamiczne ruchy, zgrabna sylwetka sprawiała wręcz przyjemność patrzącemu na jego harmonię ruchów. Jasiu Kępczyk byłby jednym z najlepszych florecistów na świecie, gdyby nie pewne „przechylenie” na rzecz koronkowej techniki kosztem twardości i przebojowości na planszy, którą zawodnik musi mieć, żeby wygrywać. Jasiu był za subtelny, za delikatny by być zawsze skutecznym zawodnikiem w wymagających twardości i bojowości walkach na planszy.

Bardzo koleżeński był Jasiu Kirschke (bardzo „rzadkie” nazwisko), mój rywal z pierwszego kroku szermierczego. Bardzo wszyscy lubiliśmy jego uśmiech, jego osobowość, jego żarty i swoiste poczucie humoru. Niestety choroba przedwcześnie nam go zabrała.

Nie wiem jakich słów użyć by opisać kolejnego, doskonałego florecistę naszego Klubu, trochę też szablistę, a później doskonałego trenera mgr inż. Zbyszka Koerbera. Zbyszek to przede wszystkim wzór porządnego człowieka, to człowiek bez skazy, to chodząca doskonałość, poczucie obowiązku, taktu, subtelności i inteligencji. Prawdę mówiąc nie wiem, czy zasłużyłem na jego sympatię czy przyjaźń, u tak znakomitego obywatela jak Zbyszek trzeba chyba sobą reprezentować coś więcej niż moja skromna osoba, by móc szczerzyć się Jego przyjaźnią. W tych słowach nie ma ani krzty przesady, - Zbyszek Koerber to naprawdę wspaniały człowiek, kolega, szermierz , trener i polonista. Tak, Zbyszek przejął po mnie prowadzenie „Kroniki Klubowej” i robi to o wiele lepiej ode mnie. Razem z subtelną Magdą tworzą cudowną parę – gdyby tacy byli wszyscy ludzie – świat byłby piękny.

Barwną postacią był swego czasu „Kajtek” czyli Wiesław Niewiadomski, zawsze roześmiany, skory do robienia kawałów kolegom, wyjechał wkrótce do Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Bardzo miłymi kolegami szermierzami byli bracia Ryszard i Kazimierz Walkowiakowie z Brochowa pod Wrocławiem. Młodszy, leworęki Kazimierz był bardziej utalentowanym florecistą i odniósł więcej sukcesów na planszy, Rysia natomiast cechowała sportowa ambicja i pracowitość na treningach.

Mile wspominam dobrego florecistę Mirka Nowakowskiego, który bardzo wzmocnił drużyną klubową, z przyjemnością patrzyłem na jego urozmaicony, inteligentny sposób walki.

Wielką przyjaźnią obdarzałem młodego utalentowanego adepta szermierki, najpierw floretu, później szabli – Wojtka Aksamita. To był bardzo dobrze wychowany chłopiec, ambitny zawodnik i przesympatyczny kolega. Wszyscy bardzo go lubiliśmy. W 1965 roku w tak zwanym wolnym czasie po zawodach razem z Wojtkiem zwiedzaliśmy Budapeszt biegając po Basztach Rybackich, wędrując bulwami Dunaju, wspinając się na wzgórze

Gellerta, oglądając lwy przed Parlamentem podziurawione kulami z wypadków zrywu wolnościowego Węgrów z 1956 r. Wiem, że później Wojtek skończył wyższą szkołę oficerską i został wysokiej rangi oficerem Polskiego Wojska.

Nie zapomnę przesympatycznego kolegi Kazia Banasiaka – zawsze serdecznie uśmiechniętego, ambitnego na planszy i pracowitego w treningach.

Wśród szablistów naszego Klubu wyróżniam we wspomnieniach lekarza medycyny doktora Maćka Koperskiego – jednego z tych kolegów, którzy tworzyli tę cudowną atmosferę koleżeństwa, więzi klubowej, oddania i gotowości poświęcenia dla braci klubowej. Maciek jest bardzo dowcipny, lubił się śmiać, miał dar dowcipnego opowiadania o różnych sytuacjach życiowych i rozbawiania całego towarzystwa. Maciek był przy tym bardzo odpowiedzialnym, skutecznym lekarzem i zasłużył awansować „w ordynatory”. Maciek pięknie walczył na szable i obok Janusza Dąbrowskiego, Maćka Głowackiego i Jurka Pisuli zawsze był solidną podporą naszej drużyny szablowej.

Maciek Głowacki był dobrym szablistą i odniósł wiele zwycięstw, ale z mojego punktu widzenia miał pewną cechę, która nie przysparzała mu przyjaciół. Otóż Maciek, gdy był z tobą „sam na sam” był bardzo kontaktowy i prawie koleżeński. Wystarczyło jednak, by razem z nami znalazły się jeszcze jakieś inne osoby, by w Maćka włączyło „licho” karzące go dominować nad tobą twoim właśnie kosztem. Maciek po prostu w towarzystwie starał się być najważniejszy, najgłośniejszy i wyśmiewał (czy wydrwiwał) kolegów stojących obok. Maciek chyba nie bardzo znosił towarzystwo ludzi dorównujących mu intelektem (już nie ośmielę się twierdzić obrazoburczo, że może nawet przewyższających go lotnością umysłu) – szablistą w Klubie był jednak cennym. Właśnie jego poczucie własnej wartości było chyba przyczynkiem jego pewności siebie, wręcz tupetu, a to z kolei powodowało, że walczył bardzo agresywnie, atakując i często bardzo skutecznie. Dobry szermierz, to nie tylko dobry „technik” ale i agresywny, „zdobywczy” zawodnik a Maciek taki właśnie był, więc jako zawodnik miał nasze uznanie.

Z szablistów miło wspominać jeszcze kolegów Jurka Pisulę – bardzo dobrego technika szablowego, inż. Jacka Kiestrzynia – jednego z najmilszych klubowiczów, będącego zawsze duszą towarzystwa, Izydora Pelizga – nieoszlifowany talent szablowy ale za to zawsze uśmiechnięty i pełen poczucia humoru, Kazimierza Mądrzaka – bojowego, wierzącego w siebie, koleżeńskiego i wzorowo pracującego na treningach nad swoją formą szermierczą, ambitnego Zbyszka Wolskiego, sympatycznego Adama Mazura, który później wyemigrował do Niemiec.

Chlubne tradycje dobrego kierowania losami naszego Klubu przejął Kazimierz Górniak. Mam osobisty powód, by z tego się cieszyć, bo Kaziu był uczniem szkoły szermierczej, którą osobiście prowadziłem jako instruktor w latach 1966 – 1967. Kaziu był zawodnikiem wyróżniającym się talentem, inteligencją, wszechstronnością, błyskotliwością na planszy i poza nią. Kaziu był bardzo szybki i obdarzony refleksem. Pamiętam jak w 1966 roku w Budapeszcie ścigaliśmy się z Kaziem, kto szybciej wbiegnie na szczyt schodów Baszt Rybackich i Kaziu zawsze wygrywał. Kaziu ma niepospolity dar zjednywania sobie ludzi od pierwszego wejrzenia. Jak to dobrze, że ten przesympatyczny kolega i świetny organizator przejął trudny ster i w niełatwych, komercyjnych czasach, w sporcie tak niedochodowym i kapitałochłonnym jak szermierka – jakoś kontynuuje chlubne tradycje naszego ukochanego Klubu.

Dlaczego więc tak bardzo kochamy nasz Klub ?

Nie dlatego, że odnosiliśmy z Niego jakieś materialne korzyści – bo starzy zawodnicy pamiętają, że nie dostawaliśmy żadnych pieniędzy za uprawianie sportu, a kieszonkowe na wyjazdach nie zawsze starczało na skromny posiłek po ciężkich walkach.

Oczywiście wielkim dopingiem (w tym czystym znaczeniu) była dla nas, w czarnych latach „głębokiej komuny” – możliwość wyjazdów za granicę na zawody szermiercze w

Paryżu, Tuluzie, Skopje w Macedonii, Budapeszcie czy w Dreźnie. A były to jednak czasy „żelaznej kurtyny” gdy przeciętny obywatel PRL-u nie mógł nawet marzyć o zobaczeniu wielkiego, normalnego świata na zachodzie Europy.

Jednakże tym, co mnie przyciągało do Klubu, co spowodowało, że na zawsze Wrocławski Klub Szermierczy pozostanie w moim sercu jako umiłowany – byli i są **wspaniali ludzie**, członkowie tego Klubu, umiłowana bracia szermiercza. Jestem dumny, że byłem członkiem tego Klubu, że 16 lat żyłem wśród wspaniałych działaczy, cudownych koleżanek klubowych, oddanych i życzliwych kolegów. Jestem wdzięczny wszystkim koleżankom i kolegom z planszy, że obdarzali mnie swą życzliwością, że kibicowali mi w bojach drużynowych ale też i w zawodach indywidualnych. Wielu, bardzo wielu koleżankom i kolegom zawdzięczam wzorce zdrowego, sportowego podejścia do życia, dobijania się sukcesów życiowych ciężką pracą treningową i potem wylewanym w ćwiczeniach, przygotowaniach i na zawodach. Byliśmy bracią, dla której hasło „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” było codzienną, realną treścią. Społeczność klubowa nauczyła mnie kochać i szanować innych ludzi, za ich wysiłek, sukcesy sportowe i zawodowe, za ich zwycięstwa dla barw klubowych.

Do końca życia będę dumny, że miałem zaszczyt być jednym z Was !

Dziękuję Wam za wszystko !

Wasz Grzegorz Falkowski
w skrócie zwany „Fala”